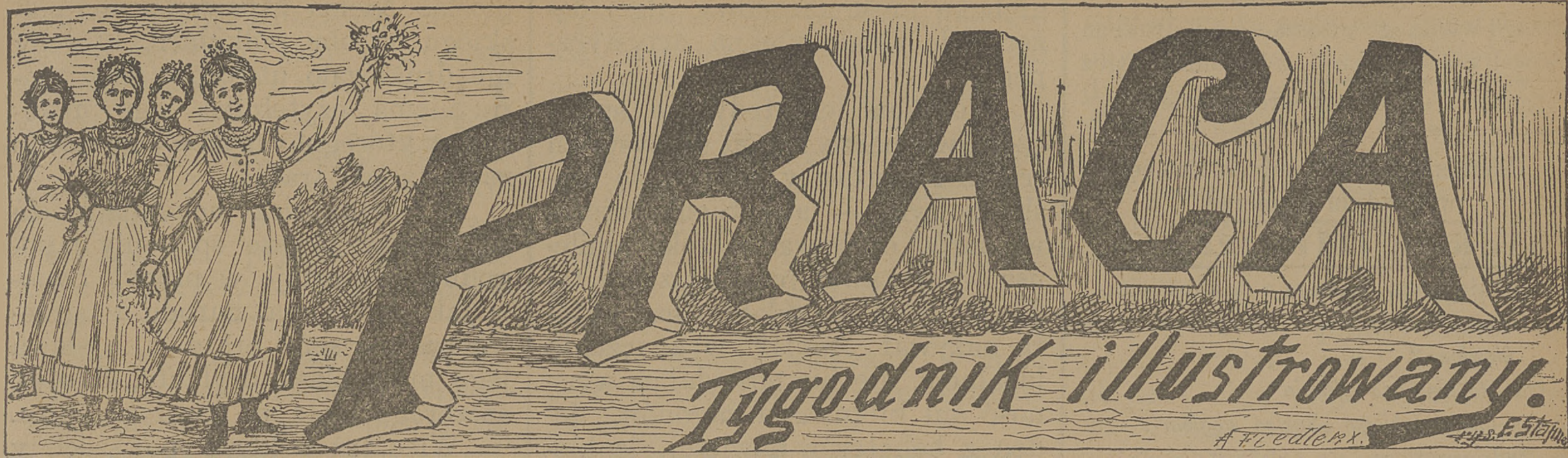
Nr. 17. Poznań, Niedziela 22-go Kwietnia 1900 r. Rok IV.



Z powodu dołączenia

„Czytelni Polskiej“

zmuszeni jesteśmy podług przepisu pocztowego dzisiejszy numer „Pracy“ ograniczyć do dwóch arkuszy; powetujemy to jednakowoż w dwójnasób w następnych numerach.

Album Sienkiewicza

wydamy już w jednym z następnych numerów „Pracy.“

Dalej w Maju ku uczczeniu

miesiąca Maryi

wydamy ozdobny cykl numerów „Pracy“ zaopatrzony obficie w bogate illustracye z odnośnem objaśnieniem, a mianowicie:

„Matka Boska Siewna“
„Dziewica z kwiatu,“
„Ślubne wianki.“
„Sobotni promyk,“
„Wniebowzięcie“ i t. d.

Następnie wydamy bogaty numer, poświęcony uroczystości jubileuszowej

Katedry Gnieźnieńskiej

i inne podobne.

Dołożymy wszelkich starań, by urozmaicona treść „Pracy,“ a zawsze zaopatrzona w liczne i bogate illustracye, zajęła serce i umysł Czytelnika. Żywimy atoli nadzieję, że Szanowni Czytelnicy w zapłacie za zabiegi nasze nie odmówią nam poparcia.

Zapraszamy też jeszcze do licznego abonamentu „Pracy“, gdyż następne numera będą tak bogato uposażone, że nieraz już jeden numer „Pracy“

wynagrodzi cały kwartalny abonament.

Zaległe numera, które mamy jeszcze w zapasie dostarczymy bezpłatnie. Prosimy usilnie zażądać numerów okazowych, które chętnie przyślemy w każdej ilości, celem rozdania krewnym, przyjaciołom i znajomym.

Im większą będzie liczba Czytelników, tem bardziej będziemy w możności udoskonalić wydawnictwo nasze.

Prosimy więc o pamięć i łaskawe poparcie.

Wydawnictwo „Pracy“ podjęło się nowego dzieła, wprawdzie skromnego, lecz tem pożyteczniejszego, bo wydawania „Czytelni Polskiej“, za pomocą której szerszej Publiczności uprzystępnić się ma znajomość sławnych Pisarzy i niewyczerpanego skarbu bogatej literatury naszej.

Ażeby „Czytelni Polskiej“ umożliwić wstęp do każdej chaty, choć najbiedniejszej, ustanowiono abonament nadzwyczaj niski, bo

tylko 50 fen. kwartalnie.

Wobec tego, że język polski ze szkoły wyparto, a tanie piśmidła niemieckie rozpościerają się tysiącami po domach naszych, zatruwając serce i umysł naszej młodzieży — „Czytelnia Polska“ dla swej zdrowej i doborowej treści i niebywale niskiej prenumeraty, powinna znaleść ogólny poklask i szczere przyjęcie w każdym domu szczeropolskim.

Mianowicie Dwory nasze powinny „Czytelnią Polską“ w licznych egzemplarzach abonować dla ludu.

Każdy, kto chce przyłożyć rękę do dobrej sprawy, niech zażąda zeszytów okazowych „Czytelni Polskiej“, celem rozdania takowych mianowicie pomiędzy lud.

Administracya „Czytelni Polskiej dostarczy odwrotnie i z podziękowaniem każdą pożądaną ilość numerów okazowych.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć pokaźną

Bibliotezkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnię Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Austryi 30 centów,

(a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.)

Kto raz „Czytelnią Polską zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi

co tydzień

we formacie książki w objętości 20 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowić będzie w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt będzie dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Pomiędzy innemi *„Czytelnia Polska“ będzie miała jeszcze i tę zaletę, że takową każde dziecko czytać może*

i czytać powinno!

Pierwszą seryę „Czytelni Polskiej“ rozpoczęliśmy

obchodem jubileuszowym

naszego wielkiego pisarza — t. j. drukiem „Nowel Sienkiewicza“. z podaniem tegoż fotografii i odnośnem streszczeniem życiorysu.

„Czytelnia Polska“ zamieszczać będzie

w każdym numerze

piękne illustracye

z objaśniającym tekstem a mianowicie:

Kazimierza Pochwalskiego „Portret H. Sienkiewicza.“
Piotra Stachiewicza „Hania“.
Józefa Chełmońskiego „Szkice węglem“.
W. Wodzinowskiego „Za chlebem“.
Jana Rosena „Bartek zwycięzca“.
Juliusza Kossaka „Kmicicowa kompania“.
Piotra Stachiewicza „Kniachini Kurcewiczowa“.
Piotra Stachiewicza „Pan Zagłoba“.
Józefa Brandta „Bitwa pod Klawanami“.
Piotra Stachiewicza „Baśka“.
Piotra Stachiewicza „Oleńka“,
Piotra Stachiewicza „Anielka“.
Piotra Stachiewicza „Litka“.
Piotra Stachiewicza „Pani Emilia“.
Piotra Stachiewicza „Marynia Pławicka“.
Antoniego Kamieńskiego „Kamionka“.
Piotra Stachiewicza „Ligia“.
Wilhelma Kotarbińskiego „Śmierć Petroniusza“.
Henryka Siemiradzkiego „Kaplica Quo Vadis“.

Przy każdem rozpoczęciu druku jakiegokolwiekbądź utworu w „Czytelni Polskiej“ podamy zawsze fotografię autora wraz z objaśniającym tekstem. Wskutek tego przyczyni się „Czytelnia Polska“ do zaznajomienia szerszego ogółu czytelników z naszymi pisarzami, których lud nasz mało zna.

Henryk Sienkiewicz.

Sienkiewicz w roku bieżącym obchodzi jubileusz swej ćwierćwiekowej pracy na niwie literackiej. Czyż potrzeba czytelnikom „Pracy“ mówić, kto jest ten pisarz znakomity, którym się zachwycają Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi, Rosyanie, — który sławę swego imienia, a wraz z nią sławę narodu naszego rozniósł jak świat długi i szeroki. On zdziałał swem piórem więcej niż legion pracowników skrzętnych na innych polach życia narodowego, — bo w nim się połączył talent z niewystudzoną miłością ojczyzny, z zapałem zawsze młodzieńczym, z niestrudzoną pracą. I dlatego też jemu danem było w udziele krzepić ducha narodu tylu cudnemi utworami, dodawać nadziei i otuchy, wskazywać drogę naprzód, uczyć i wpajać nietylko głęboką myśl narodową, ale i dążenie do ideału piękna artystycznego.

Słusznem jest tedy, że społeczeństwo nasze z pod wszystkich trzech zaborów w jednej się myśli złączyło, — aby Sienkiewiczowi naród ofiarował w roku jubileuszowym kawał polskiej ziemi, tej ziemi, którą on tak ukochał, a którą nazywał „*swoją*“ w znaczeniu idealnem, ale nie posiadał na własność ani kilkunastu zagonów. Jeden z bohaterów powieści Sienkiewicza, Połaniecki, mówi: Mnie samemu dziwnem się wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech łokci kwadratowych tej ziemi, o których możnaby powiedzieć: „moje!“

A w jak prostej, niemniej przeto serdecznej formie wyraził powyżej Sienkiewicz ten pociąg, który uczuwa do ziemi każdy Polak, tak też serdeczną i prostą była myśl, aby go uczcić ofiarą szmata ziemi.

Bóg dał Sienkiewiczowi dar wielki — dar i moc słowa, która sprawia, iż to jego słowo do serc tysięcy i setek tysięcy odnajduje drogę, uszlachetnia je, podnosi, umacnia, do czynu prowadzi. A obok tego daru pierwszego, który jest niby najdrogocenniejszy klejnot w jego duchowym skarbcu, otrzymał on dar drugi — a tym jest wielka, niespożyta rozczarowaniami i zawodami, niestrawiona goryczą cierpienia miłość, która odważnie w obronie uciśnionych staje, która przeszłość z teraźniejszością w świetlany tęczowy krąg spaja, a w teraźniejszość każe patrzeć okiem mędrca Pańskiego, który pod zimną, martwą powłoką odnajduje iskrę piękna i dobra, — z iskry tej krzesze ogień wielki, przy którym serc miljony ugrzać się mogą....

Niejeden może miał te dary niebios — ale je strawił, roztrwonił w pogoni za zyskiem, w rozterce duchowej ze światem i sobą, w znużeniu i chwili niemocy.

I Sienkiewicz musiał mieć w życiu chwile, gdy go ogarniało znużenie, a oczy zapłynęły łzami, serce krwawiło się boleśnie, lecz przetrwał i wyszedł zwycięzko z tej walki geniusza z trudnemi warunkami życia. Z iskry Bożej nic nie utracił, nic nie roztrwonił, wszystko narodowi swemu oddał. I tak upłynęło mu ćwierć wieku pracy.

Praca obfity i bujny plon przyniosła. Niema zapewne pisma polskiego na obu półkulach, któreby nie drukowało utworów jego pióra; niema czytelnika jego utworów, w któregoby myśl w jego słowie zawarta nie trafiła.

A Sienkiewicz uchylający się od hołdów, zawsze spokojny i pogodny, nie ustaje w pracy. Świeci jak pochodnia narodu i ogrzewa tysiące serc bratnich, a słowa jego mają blask brylantu, dźwięk szczerego złota a trwałość śpiżu.

Więc też poklask powszechny znalazła myśl, aby w nagrodę za jego pracę dać Sienkiewiczowi szmat roli polskiej. Myśl ta urzeczywistnioną zostanie i składki płyną obficie.

Zachęcamy i my do składek, zachęcamy jednak i do czegoś więcej. Niech czytelnicy nasi zwłaszcza z pośród ludu prostego, którzy czytali dzieła Sienkiewicza i zachwycali się niemi, niech dla jubilata, każdy jak umie, napiszą list z powinszowaniem i wyrazem hołdu i prześlą do naszej redakcyi. My setki tych listów oprawne w album prześlemy Sienkiewiczowi jako dar jubileuszowy, jako hołd maluczkich: będzie to zapewne najmilsza owacya, jaka go spotkać może, gdy się przekona, jak sława jego imienia i wdzięczność za jego prace trafiła do wszystkich, i tych, co zaledwie są zdolni pióro poprowadzić, a jednak myśl jego zrozumieli i sercem ją odczuli.

Któraż to z dzielnic polskich bardziej od Wielkopolski nadaje się do takiej owacyi ludowej dla naszego pisarza? Dajmy mu dowód, że lud o tem pamięta i myśli, dajmy mu świadectwo, jak o nim myśli.

Vester.

Nasz patryotyzm.

I.

Patryotyzm, patryota z pochodzenia swego wyraz obcy, od greckiego „patriotes“ się wywodzący, oznacza w pierwotnem znaczeniu swem jedynie stosunek przynależenia do pewnego kraju, do pewnego społeczeństwa; starożytni Grecy nazywali ludzi jeden szczep lub jędną społeczność stanowiących, już na zasadzie tego wzajemnego

przynależenia do siebie, patryotami. Nie miał przeto wyraz ten pierwotnie tego znaczenia idealnego i podniosłego, jakie my dzisiaj weń kładziemy; co więcej na oznaczenie tego szlachetnego uczucia, które my patryotyzmem nazywamy, nie miał świat starożytny wogóle wyrazu; dla czego? bo nie znał uczucia i pojęcia patryotyzmu, tak jak my je dzisiaj odczuwamy i pojmujemy.

Aby się przekonać o prawdziwości tego spostrzeżenia, trzeba nam wpierw znaczenie patryotyzmu, w naszem dzisiejszem zrozumieniu wyjaśnić.

W pierwszej chwili gotowiśmy mniemać, że „patryotyzm“ znaczy mniejwięcej to samo, co miłość ojczyzny, miłość kraju rodzinnego; a przecież tak nie jest; miłość ojczyzny czy rodzinnego kraju, jest to przywiązanie mniej lub więcej głębokie do ojczystych gór i dolin, rzek i lasów, ludzi i zwyczajów, przywiązanie i przyzwyczajenie się do nich, tak wielkie, że nam jedynie wśród tych ojczystych gór i lasów i w otoczeniu tych swoich ludzi dobrze i swojsko na duszy. Zwykła miłość ojczyzny zawiera więc w sobie nie mniej, nie więcej jak pobudki egoistyczne; kocha się swoją ziemię ojczystą, bo tam zazwyczaj dobrze, a jeżeli w niej nie dobrze, mówi taki zwykły egoista, no to sobie można poszukać innej ojczyzny; „ubi bene, ibi patria“, gdzie dobrze, tam ojczyzna, mawiali starzy i mówi dzisiaj jeszcze bardzo wielu. Otóż od takiej zwykłej, egoistycznej miłości ojczyzny jest „patryotyzm“ ten, o którym chcemy właśnie pomówić, nie tylko wyższy, ale zupełnie różny i inny, a różnica ta polega na tem, ze „patryotyzm“ jest zupełnie wolny od pobudek egoistycznych i w tem wyzwoleniu się z egoizmu doszedł tak daleko, że gotów jest każdej chwili własne dobro, własną korzyść poświęcić dla dobra społeczeństwa, dla ojczyzny.

Takiego patryotyzmu, czyli niegoistycznej miłości ojczyzny nie znał wcale świat starożytny; i dzisiaj nie wszystkie znają go narody. Widzimy wprawdzie w starożytności wielkie i wspaniałe czyny, świadczące niewątpliwie o miłości ojczyzny, ale na dnie tej miłości leżał egoizm, troska o własne osobiste dobro. Interesa każdej jednostki były nierozerwalnym węzłem połączone z interesem ogółu, państwa. Kiedy wielki ateński polityk Perikles przed wybuchem trzydziestoletniej wojny peloponeskiej współobywateli swych wołał pod broń, zwracał im uwagę na to, że chwilowe osobiste straty, jakie pod bronią stanąwszy poniosą, szybko powetują, skoro zwyciężą wroga — i przeciwnie, że każdy z nich będzie zniszczony w razie porażki i klęski. Nie przemawiał do współobywateli swych w imię miłości ojczyzny, w imię patryotyzmu, lecz w imię osobistego dobra.

Wiedział, że mówi do ludzi, którym podatki miast zwyciężonych miały przynieść jadła i napoju, strojów kosztownych i środków na wspaniałe gimnazya, łaźnie i teatra; do ludzi, których klęska publiczna mogła pozbawić każdej rozkoszy życiowej, do której byli przywykli. Na dymiących gruzach miasta śmierć haniebną ponieść, lub co gorsza w kajdanach na targ niewolników być zawleczonym, patrzeć na to jak z targowiska jedno z dzieci do taczek w łomach kamiennych zapędzano, inne na wyrzezanego strażnika wschodnich haremów przeznaczano — to były zwykłe skutki poniesionej klęski. Tak więc miłość ojczyzny wiodąca starożytnych Greków na plac boju była z jednej strony chęcią zachowania tego, co posiedli i zdobycia jeszcze więcej, z drugiej strony obawą przed utratą wszystkiego materyalnego dobra i strach przed okropną niewolą. Z tych to w gruncie egoistycznych pobudek wyrósł niejeden wielki i potężny mąż i niejeden śmierć bohatyrską poniósł w obronie kraju.

Lecz nie potrzebujemy szukać tak daleko i sięgać aż do starożytności, żeby się przekonać o egoizmie ukrytym na dnie codziennej i zwykłej miłości ojczyzny, o której tak często głoszą i prawią.

Patrzmy dzisiaj w okół siebie na narody otaczające nas, albo i na naród żyjący dzisiaj wśród nas. Każdy Francuz, czy Niemiec, czy Anglik służący wiernie ojczyźnie, a tem więcej oficyalnie reprezentujący ojczyznę tę rządowi, wie dobrze, że służąc tej ojczyźnie, społeczeństwu swemu, nie mniej służy sam sobie i sobie samemu najlepiej robi. Takim jest zupełnie naturalny porządek rzeczy wywołany przez proste przynależenie jednostki do ogółu i na odwrót przez istnienie ogółu za pomocą jednostek. Nie może istnieć społeczeństwo, państwo bez obywateli, nie może istnieć pojedyńczy człowiek bez społeczeństwa; nawzajem są na siebie skazane. Każdy porządny obywatel niemiecki czy francuzki, służy wiernie swojej ojczyźnie, swojemu społeczeństwu, a ono nawzajem i o nim nie zapomina. Jak wszędzie w życiu praktycznem, tak i tutaj hasłem jest reguła: „do ut des“, daję, abyś dawał. Obywatel daje państwu swoją pracę, swoje siły fizyczne czy umysłowe, czy materjalne w kształcie podatków, a państwo w zamian pamięta o jego potrzebach fizycznych, materjalnych, moralnych, a najwierniejszych synów swych obdarzy tytułem „Geheimrata“ lub orderem ozdobi za jego wierną służbę, za miłość ojczyzny. Taki jest naturalny zupełnie i słuszny porządek rzeczy w państwach wiodących żywot normalny,

U nas żyjących, jako społeczeństwo polskie, zupełnie nie normalnie, wwyjątkowych warunkach, stosunek ten jest zupełnie innym i w skutek tego też nasza miłość ojczyzny, *nasz patryotyzm* jest, a przynajmniej winien być, zupełnie innym. O istocie i znamionach jego pomówimy następnym razem.

Poznańczyk.

Wojna w Afryce.

Dnia 11-go b. m. minęło pół roku od rozpoczęcia działań wojennych w Afryce południowej, dwa długie kwartały, pełne walk krwawych, a bezowocnych. Dzisiejsze położenie wojsk angielskich nie jest tak rozpaczliwe, jak około Nowego Roku, kiedy gen. Buller z armią zdziesiątkowaną stał u brzegów Tugeli przed niezdobytemi szańcami Joubert'a, a chełpliwy Methuen, który wyruszając do Kimberleyu, zapowiedział, że święta Bożego Narodzenia będzie obchodził w stolicy nieprzyjacielskiej, rozbity i zniechęcony oczekiwał niecierpliwie nowych posiłków. Armia marszałka Roberts'a stoi w Bloemfonteinie, nad gmachem prezydenta republiki Orańskiej powiewa sztandar angielski, ale to też wszystko, co zdołano osięgnąć dotąd, z poświęceniem 20,000 ludzi i milionów funtów szterlingów.

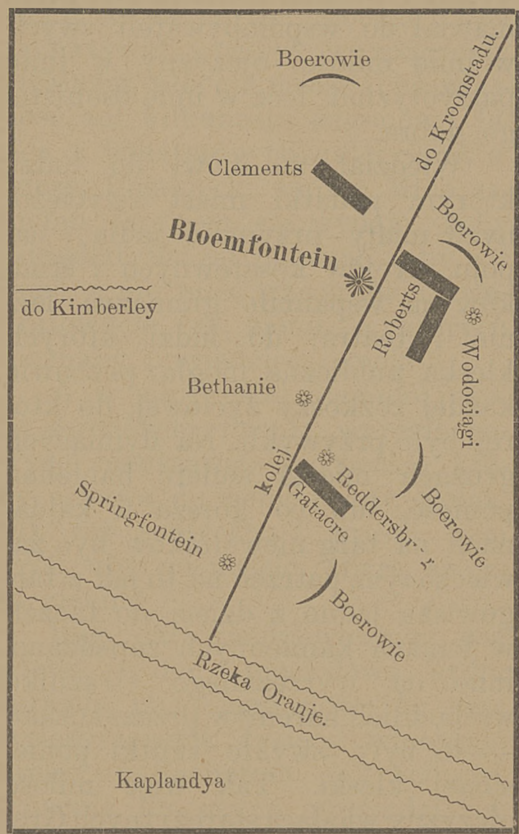
Niewesołe święta Wielkanocne mieli Anglicy, jak niewesołe były dla nich

święta Bożego Narodzenia. Marszałek Roberts nie jest panem kraju, którego stolicę zdobył; jest tylko panem stolicy samej. Tuż przed jego obozem uwijają się śmiałe oddziały republikańskie, rozbijając i biorąc do niewoli każdy pułk, który odważy się wyjrzeć po za najbliższą okolicę miasta Cały kąt południowo-wschodni kraju znajduje się w rękach nieprzyjaciela, związek kolejowy z południem jest zagrożony, a pomyślany śmiało i przygotowany starannie z wielką zmudą czasu pochód do Transwaalu, nie może być wykonany, ponieważ Boerowie, rozbiwszy straż przednią gotowej już do wymarszu armii, zabrali zapasy żywności, bez których nie można ruszyć się z miejsca, i szczegółowy plan projektowanej akcyi zaczepnej. Trzeba wymyśleć i opracować plan nowy, oparty na innych już obliczeniach, a zajmie to znowu sporo czasu.

Odniósłszy pierwsze swe wielkie zwycięztwo, lord Roberts mniemał, że w połowie maja dotrze do Pretoryi. Rozejrzawszy się lepiej w stosunkach nabrał przekonania, że nie można spodziewać się końca wojny przed miesiącem lipcem. Jak zapatruje się na tę sprawę obecnie, gdy lud, który uważał już za podbity, ocknął się z przerażenia, porwał się znowu do broni i odważył się nietylko na stawienie oporu, lecz nawet na stanowczą akcyę zaczepną? Wypadki ostatnich tygodni pozwalają wnosić, że wojna nie skończy się w maju, ani w lipcu, a kto wie, czy w październiku, po całorocznych wysiłkach, Anglia będzie panią butnych republik afrykańskich? Z Bloemfonteinu do granicy transwaalskiej jeszcze daleko, a droga zasiana jest przeszkodami, które utrudnią pochód. Nie same tylko szańce, góry i rzeki, i ruchliwe oddziały Boerów staną na drodze armii, zdążającej do rzeki Waal. Groźniejszym może jeszcze przeciwnikiem jest klimat afrykański, ulewy pory zimowej, które zamieniają pustynię na topieliska, a strumyki na rzeki potężne, oraz przymrozki nocne, zabójcze dla zmoczonych przez deszcze żołnierzy.

Ze zdobyciem Kroonstadu i przekroczeniem rzeki Waal, jednak wojna nie skończy się jeszcze, o ile Boerowie nie zaniechają dalszego oporu. Zdobycie wzgórz, otaczających Johannesburg i okalających szerokim łukiem Pretoryą, dopiero będzie oznaczać koniec, ale w tym wypadku nie początek, lecz koniec będzie najtrudniejszy. Może minąć nowe półroku, zanim Anglia stanie u celu swych marzeń.

Nie ulega oczywiście najmniejszej wątpliwości, że potężna Wielka Brytania prędzej czy później złamie opór pozostawionych swoim własnym siłom republik południowo-afrykańskich. Może to trwać pół roku jeszcze, rok lub dwa lata, ale ostateczny wynik walki inny być nie może. Środki wojenne Boerów są ograniczone i muszą wyczerpać się nareszcie; naród liczący 300 000 dusz nie może walczyć do nieskończoności z armią liczącą 150, a w razie potrzeby 300,000 ludzi; może tylko zadawać jej klęski, ale zniszczyć jej nie może, gdy jego szeregi, także w razie zwycięztwa, przerzedzają się nieustannie.



Plan sytuacyi obecnej około Bloemfontein.

Czy jednak Anglii warto walczyć do upadłego w tak trudnych warunkach, wyczerpywać swoje zasoby materyalne i gubić dziesiątki tysięcy wojska, aby usunąć z pośród swoich kolonii małe państewka niezależne, które są groźne w obronie, ale niezdolne do akcyi zaczepnej, do wojny zaborczej? Czy Anglia może liczyć na to, że nikt nie przeszkodzi jej w podboju, że w Europie, mimo wystawy paryzkiej, nie zerwie się ta burza, w której przewidywaniu wszystkie państwa od lat trzydziestu przygotowują armie milionowe i floty pancerników? Zresztą kto wie, czy wystawa nie skończy się wcześniej od wojny. Chwilowo nad Europą jest cisza, ale jest to cisza groźna, ponura, która, zdaje się nie wróżyć nic dobrego, a jeżeli wypadnie z niej grom, to uderzy w Anglię, wyczerpaną przez długą i ciężką wojnę afrykańską. A wtedy czy Boerowie nie porwą się na nowo do broni i czy wszystkie trudy i ofiary tej wojny nie pójdą na marne? W każdym razie jest to gra niebezpieczna i lekkomyślna, w którą gra p. Chamberlain, tem lekkomyślniejsza, że wygrana nie warta stawki.

G. P.

Z pamiętnych chwil.

VII.

Jeżeli obóz Wrzesiński, a raczej Nowomiejski, drogo opłacił zawarcie konwencyi z Willisenem, to również drogo okupiły ją inne obozy.

Brzeżański zgodnie z umową w Środzie nie pozostał, lecz wysławszy żywność i magazyny do Chudzic i Winnej Góry, dnia 13-go kwietnia wymaszerował do Miłosławia.

Przy rozpuszczaniu nadliczbowych szeregów w Miłosławiu zaszedł wypadek, który o mało nie spowodował zerwania konwencyi. Gdy bowiem puszczeni do domów kosynierzy gromadami opuszczali obóz, natrafić musiały pierwsze gromady na wojsko pruskie.

Prusacy, nie wiedząc nawet czy to napaść na nich, nie pozwolili uzbrojonym i groźnym gromadom posuwać się naprzód, lecz wywołali starcie i odrzucili kosynierów napowrót do obozu. Wróciły więc te zdezorganizowane bandy w popłochu do obozu, napełniając obóz wrzawą, niosąc zamięszanie i zapewniając o zdradzie „panów“, którzy „na rzeź“ ich Prusakom wydać chcieli.

Gorączkową agitacyę wśród żołnierzy w Miłosławiu rozwinęła żona emigranta, pani Babska, herod-baba, która niejednego adwokata mogłaby przegadać. Pełno jej było wszędzie, po kantynach i szynkach, a gdzie tylko mogła zebrać słuchaczów, tam występowała z perorami przeciw ugodzie jarosławieckiej. Wreszcie ją z obozu usunięto prawie gwałtem.

Z trudnością udało się stłumić zaburzenia i odesłać żołnierzy nadliczbowych do domu. Zdemoralizowani, przekonani o zdradzie, łaknący krwi, wracali oni do domów, znacząc drogę swą rozbojami i złorzeczeniami.

Nie ulega zresztą najmniejszej wątpliwości, że z wracających do domów żołnierzy polskich znaczna liczba przypłaciła życiem konwencyę Jarosławiecką. Wojsko pruskie, wyłamawszy się zupełnie z pod karności oficerów, napadało na powracające do domu oddziały, nietylko zabierało kosy, ale siekło i rąbało bezbronnych. Tych co należeli do landwery pruskiej, chwytano i jako zbiegów wojskowych pakowano do więzienia. Mieszkańców Królestwa, o ile kogo jako takiego rozpoznano, zatrzymywano w więzieniu.

W Nekli zebrała się banda, złożona z żydów, t. zw. olendrów t. j. osadników i żółtych huzarów. Banda ta pod dowództwem żandarma nazwiskiem Stringer napadła w zasadzce d. 16-go powracających do domu ochotników, prawie wszystkich pomordowała, trupy zakopała w ziemię, a nieszczęśliwych niedobitków

szukała w poblizkiej Nekli, nie szczędząc gwałtów na mieszkańcach.

Najsilniej podziałała wieść o ugodzie Jarosławieckiej w obozie w Książu, gdzie pułkownik Budziszewski był dowódcą. Obóz ten liczył przed ugodą znaczną ilość żołnierza, niestety, zupełnie niesfornego i niewyćwiczonego. Codzień prawie przybywały nowe masy ludu chcąc zaciągnąć się pod chorągiew. Sformowały się cztery plutony ułanów, kilka kompanii strzelców i kosynierów. Lecz, że ułani koni nie mieli, uważani byli chwilowo za piechotę. Porządku, ładu i karności wojskowej Budziszewski nie umiał utrzymać.

Wieść o zawarciu ugody podziałała jak wieść o kapitulacyi bez bitwy: zapanowało zupełne rozprzężenie, które przy braku silnej dłoni, mogącej przywrócić porządek, doprowadziło obóz do zupełnej rozsypki.

Pozostała część kadrów, jak pisze w swych pamiętnikach Brzeżański, przedstawiała tak bezkształtną siłę że można ją raczej było wziąść za zbiegowisko ludu, mającego odbyć jakąś pielgrzymkę, aniżeli za obóz wojska, przygotowującego się do ruchów wojennych.

W Pleszewskim obozie obawiano się też rozruchów. W wilią dnia przeznaczonego na rozpuszczenie ochotników posłał sztab wieczorem patrole ku stodołom, w których stali kosynierzy, przewidując jakiś obozowy spisek. Patrole jednak doniosły, że w stodołach wszystko spokojnie, a „kosynierzy pieśni nabożne chórem śpiewają.“ Całą noc dowódcy czuwali, lecz nazajutrz odbyło się wszystko w porządku. Obóz pleszewski karności wojskowej nie naruszył, tembardziej, że siły jego mało co przepisane, 720 ludzi przewyższały.

Zaledwie minęło kilka dni od zawarcia konwencyi w Jarosławcu, gdy Willisen, uważając się niejako za upoważnionego do wydawania rozkazów obozom polskim, które stanowić miały zawiązek sankcyonowanej przez rząd dywizyi poznańskiej, przysłał Białoskórskiemu do Pleszewa rozkaz opuszczenia Pleszewa i przeniesienia się do Jarocina.

Miasto Pleszew było podówczas dla Polaków bardzo dogodnem, ponieważ z powiatów: odolanowskiego, ostrzeszowskiego i pleszewskiego dostawiano do obozu żywność z wielką łatwością i zaopatrywano obóz we wszystko co potrzeba. Białoskórski, który zaczynał właśnie dzięki tym szczęśliwym okolicznościom, przyprowadzać obóz do wzorowego porządku, oparł się żądaniu Willisena.

Willisen jednakowoż obstawał przy swojem, tłomacząc się kategorycznem żądaniem Colomba.

Nietrudno zrozumieć powody tego „kategorycznego żądania“ Colomba. Obóz pleszewski, przeniesiony do Jarocina, znalazł by się w okolicy już trzema obozami polskiemi przeciężonej. Skoncentrowane na jednej przestrzeni siły polskie łatwo było by Colombowi trafić przecięciem dowozu żywności, następnie zaś otoczyć i ubezwładnić.

Wskutek ponowionego żądania Willisena zjechał komitet pleszewski dnia 17-go do Witaszyc w celu pertraktacyi. Przedkładano Willisenowi, że dowóz żywności będzie za trudny, wreszcie jednak przystano na Raszków i Sulmierzyce lub Odolanów. Sulmierzyc nie zaakceptował Willisen, gdyż „za blizko granicy były położone.“

Ruszył więc obóz z Pleszewa do Raszkowa i Odolanowa i to nie czekając nawet decyzyi głównego sztabu.

Dr. K. Rakowski.

Z TYGODNIA.

Swięta i ferye świąteczne nie położyły kresu ani na chwilę kombinacyom politycznym. Swiat dyplomatyczny łudzi się nadziejami, że „wielkie“ następstwa będzie miała podróż cesarza Franciszka Józefa do Berlina. Cesarz austryacki, któremu towarzyszyć będzie w podróży nad Sprewę minister spraw zewnętrznych hr. Gołuchowski, chce być obecnym na uroczystościach, które trwać będą dni kilka na berlińskim dworze cesarskim z powodu ogłoszenia pełnoletności najstarszego syna cesarza, następcy tronu.

Wojna Anglików z Boerami coraz bardziej przechyla się na niekorzyść pierwszych. Upojony pierwszem wielkiem zwycięztwem, gdzie wziął do niewoli Cronjego, marszałek Roberts zadaleko się zapuścił w głąb nieprzyjacielskiego kraju, a przez to naraził na odcięcie od reszty wojsk swoich. Pomiędzy żołnierzami panują choroby płucne wskutek zimna i niedostatecznego ubrania, do tego się przyłącza zła woda, ponieważ wodociągi opanowali i zniszczyli Boerowie. Otoczony ze wszystkich stron Boerami Roberts niebawem znajdzie się sam w położeniu bez wyjścia, o ile nagłym jakimś czynem nie uwolni się z matni.

Gazety angielskie zaczynają też już na dobre sarkać na niedołęztwo i brak czujności wodzów angielskich, którym zarzucają, że niczego się w tej wojnie jeszcze nie nauczyli. Szczegółowe opisy ostatnich potyczek wykazują wprost bezprzykładne niedbalstwo oficerów angielskich. Sami Boerowie przyznają, że nie byliby wyparli Anglików z pozycyi przy wodociągach, gdyby nie to, że zastali Anglików śpiących, a w około ich obozu ani jednej placówki. To też z całym spokojem otoczyli ich z trzech stron, a ze świtem zbudzili kulami armatniemi. Wówczas powstał w obozie popłoch nieopisany. Jedna z bateryi, która najpierw stanęła gotowa do boju, popędziła co koń wyskoczy na poblizkie wzgórze, aby ztamtąd ostrzeliwać Boerów, lecz właśnie to wzgórze już było zajęte przez Boerów, którzy zachowywali się zupełnie cicho, dopiero zaś, gdy baterya podjechała na odległość 100 kroków, dali ognia kładąc trupem odrazu wszystkie konie i kanonierów, poczem z całym spokojem i bez najmniejszej straty zabrali działa i zaczęli z nich strzelać na Anglików.

Ten brak czujności ułatwił Boerom zajęcie tyłów armii Robertsa. Dwóch oficerów rosyjskich sformowało legię zagraniczną, która walczy przeciw Anglii. Symptomat to bardzo znamienny, który nie jest dobrą zapowiedzią dla Anglii. Gdyby dziś Rosya chciała zająć wobec niej wrogie stanowisko, Anglia wobec powszechnej ku sobie niechęci, znalazła by się nad przepaścią.

„Polscy“ socyalni demokraci w zaborze pruskim zamierzali urządzić wiec w Berlinie podczas świąt Wielkiejnocy. Nie powiodło im się w Księztwie dostać nigdzie lokalu na odbycie tego wieca, pomimo usilnych starań. Liczba ich zwolenników u nas zmalała tak, że w Poznaniu np. ich gazeta nie liczy wcale abonentów. Fakt ten świadczy, że lud nasz na szczęście pojął, iż socyalistyczna teorya to w dzisiejszych warunkach jedna z dróg, któremi radaby się germanizacya wciskać w nasze społeczeństwo. Odporność naszego społeczeństwa wobec wywrotowej teoryi socyalistycznej świadczy tylko o pewnej dojrzałości. To też stronnictwo niemieckie socyalistyczne wzywa polskich socyalistów, aby się wyrzekli „mrzonek“, przestali podszywać się pod firmę niby narodowo polską i zlali się z partyą niemiecką. Zlanie się to formalne prędzej czy później nastąpić musi, bo w rzeczywistości dawno już nastąpiło.

Hakatyzm jest epidemiczny i zaraźliwy: przekonali się o tem na swoją szkodę sami Niemcy, wskazując postępowaniem wobec Polaków, jakiej metody używać mają Węgrzy wobec siedmiogrodzkich Niemców. Rząd węgierski przedłożył sejmowi propozycyę surowego karania wszelkich stosunków z zagranicznemi towarzystwami, popierającemi cele kościelne, szkolne i wogóle t. zw. propagandę narodową.

Niemiecki „Schulverein“ i „Gustav-Adolph-Verein“ będą więc miały zamknięty wstęp dla swej działalności wśród Niemców siedmiogrodzkich.

Oczywiście Niemcy mają dość słów po-

tępienia na tak „barbarzyńskie“ postępowanie Węgrów, chociaż Niemcy w Siedmiogrodzie są żywiołem napływowym zupełnie świeżej daty i trudno by im się było wykazać prawami historycznemi do ziemi, którą zamieszkują. Ale gdy Hakata nas gnębi, chce nas wyzuć z ojczystej gleby i języka to nie jest po barbarzyńsku. Wtedy to się nazywa — — szerzeniem cywilizacyi.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Aby wzbudzić popłoch przed rzekomą agitacyą wielkopolską, a dalej aby podsycić przesadne obawy przed „zalewem polskim“ lipska filia Hakaty rozrzuca odezwę, zachęcając do wstępowania do tego „szlachetnego“ stowarzyszenia Jak podaje **„Germania“**, odezwa ta maluje czarnemi barwami niebezpieczeństwo grożące Niemcom ze strony *potopu* polskiego:

„Nietylko — czytamy w tej odezwie — czterem wschodnim prowincyom grozi spolszczenie zupełne! Już przed murami Berlina szumi powódź słowiańska. W licznych majątkach większych w Brandenburgii znajdują się zastępy polskich robotników. Jeśli też na zebraniu socyalistów zwrócono uwagę, że agitacyą po wsiach na korzyść socyalizmu można w prowincyi brandenburskiej tylko za pomocą rozszerzenia pism socyalistycznych polskich należycie przeprowadzić, — to widocznem jest, jak słowiański robotnik wyparł w tych okolicach roboczą ludność niemiecką. Podobnie rzecz się ma z Pomorzem i Meklenburgią.

„Kościoły ewangelickie stoją po wsiach próżne, a w kościołach katolickich zaprowadza się już tu i owdzie język polski przy nabożeństwie. Co raz częściej wydarza się teraz, że się poszukuje w tamtych okolicach pomocników handlowych mówiących po polsku. Z każdym rokiem postępują Słowianie coraz dalej ku Zachodowi, tak jak lotny piasek nadmorski, grzebiąc jedną miejscowość niemiecką po drugiej. Całe wsie i gminy dworskie, które dotychczas były niemieckie, stały się w ostatnich czasach polskiemi. Jeśli w przyszłem 50-leciu Niemcy na wschód od Elby mają zachować przewagę niemieckości, należy podjąć i prowadzić bezwzględnie dalszą walkę przeciwko Słowianom.“

Zbytecznem byłoby przytaczać dalsze brednie zawarte w tej odezwie. Ubolewać trzeba, że pod takiemi bzdurstwami, które nie zasługują nawet na miano godziwego środka w walce politycznej znajdujemy nazwisko uczonego niemieckiego prof. Lamprechta. Fakt ten dowodzi, że epidemia hakatyzmu opanowała nawet takich ludzi, którzy z tytułu swego zawodu odgrodzić się powinni byli od niej — rozumem i taktem.

W wychodźtwie ludu polskiego, które wystawia powyższa odezwa jako ogromne niebezpieczeństwo, upatruje społeczeństwo polskie objaw wręcz odmienny, ujemny w swych skutkach i przyczynach. W sprawie tej pisze **„Gazeta Toruńska“** omawiając warunki wychodźtwa z Królestwa Polskiego do Prus:

„Duchowieństwo wiejskie ze zgrozą patrzy na skutki wychodźtwa za robotą do Prus, wynikające z tego, że robotnicy zatrudniani są w Prusiech tylko czasowo i że wpuszczane są tylko osoby pojedyńcze, bez rodzin. Ta włóczęga jest źródłem nietylko zepsucia moralnego, lecz także nędzy niewypowiedzianej, bo mąż, pozostawiwszy w domu żonę z dziećmi, częstokroć przez cały czas pobytu w Prusiech nie przesełа jej ani grosza, lecz trwoni go z przyjaciółkami; dzieci zapominają o starych rodzicach, matki o nieślubnych dzieciach itd. Z tego powodu powstał projekt, żeby prosić władzę o wydanie rozporządzeń treści następującej:

1. Robotnik nie otrzyma paszportu na wyjazd za granicę, jeżeli nie wykaże się, że został ugodzony przynajmniej na jeden rok.

2. Osobom płci żeńskiej wolno wychodzić tylko w towarzystwie mężów, rodziców lub starszych krewnych.

3. Chlebodawcy obowiązani dać rękojmię, że co miesiąc lub co kwartał z góry część zarobku każdego robotnika posyłać będą osobom w kraju zostającym, które ten robotnik utrzymywać zobowiązany.

„Na ogólny zakaz wychodźtwa, za którym przemawiają właściciele ziemscy, duchowieństwo przeważnie się nie godzi, wychodząc z założenia, że nie należy robotników pozbawiać możności poprawienia swego bytu materyalnego.“

Jeżeli projekt powyższy, w rozmiarach przez „G. Tor.“ przytoczonych miałby zostać wprowadzony w życie, można się spodziewać, że płace robotników w Księstwie znacznie się podniosą, a tem samem i warunki gospodarstwa rolnego się polepszą.

I w tych oto czasach zamyślają przedstawiciele rządu przeciągnąć posłów polskich na stronę marynarkowych projektów, aby podatki i ciężary wszelkiego rodzaju jeszcze wzrosły bardziej. Słuszną też odprawę daje tym usiłowaniom rządu **„Dziennik Poznański“**:

„Ks. prałat i poseł dr. Jażdżewski, jak donosi „Deutsche Ztg“, był w sobotę na parlamentarnym obiedzie u sekretarza stanu dla spraw zewnętrznych, hr. Bülowa. Jeżeli to prawda, upatrywać w tem należałoby objaw zbliżających się obrad nad wnioskiem marynarskim i to ze strony pojęć t. z. polityki rzeczowej.

„Szanowny nasz poseł ks. dr. Jażdżewski jest niewątpliwie mężem wielkiego zmysłu politycznego. Jeżeli kto, to my gotowiśmy zawsze oddać szczere uznanie dla jego talentu i zręczności, nawet dla jego rzeczowej polityki, o ile ona jest doskonale pomyślaną w teoryi. Niestety, gdyby miała być wykonywaną w praktyce tak jednostronnie, jak ją pragnie wykonywać rząd i hakatyzm, mogłaby powagę polskiej polityki wywieść na bezdroża. Jeżeli rzeczowa polityka, to w całem znaczeniu niech będzie obustronna!! Bo nie tylko marynarka jest rzeczą, dla której się godzi stać na stanowisku polityki rzeczowej, ale tak samo potrzeby nasze narodowe są bardzo poważną rzeczą, której ignorować nie można. Kto żąda od nas „rzeczowych“ zapatrywań i postanowień, musi się także rzeczowo zapatrywać na żądania nasze i uwzględniać je w całej pełni.

„Wogóle zaś pamiętać należy, że po doświadczeniach z epoki Capriviego, po tak niesłusznie u posłów naszych przemilczanej deklaracyi ks. Ferd. Radziwiłła i dr. Komierowskiego, dla jednostronnej polityki rzeczowej, sympatyi być nie może. A gdyby który z posłów chciał praktycznie wejść na jej tory, spotkałby się z opozycyą całej opinii.

„Stanowisko Koła w sprawie marynarki jest prawidłowe i znane.“

Sądzimy, że w sprawie marynarkowej stanowisko naszego społeczeństwa jest tak jasne i rzeczowe, że żadne parlamentarne obiady nic w niem nie zmienią. Ubliżalibyśmy posłom naszym sądząc, że wahają się, czy pójść za jednomyślnie wyrażoną opinią całego społeczeństwa, czy za życzeniem choćby osoby jeszcze wyżej od hr. Bülowa i kanclerza postawionej.

Pan Węglarz w Miejskiej Górce przesłał książeczkę oszczędności do kasy powiatowej z następującym listem:

„Miejska Górka (Goerchen),
dnia 20 marca 1900.

Kasa oszczędności powiatu gostyńskiego
w Gostyniu.

Przesyłając w załączeniu książeczkę kwitową Nr 846 (ośmset czterdzieści sześć), proszę całą mi przynależną sumę przysłać jak najprędzej na ręce moje tudotąd pod Nr. 241 pod klasztorem „Goruszki“.

Z głębokim szacunkiem
Józef Węglarz“.

Odpisano mu na tym samym arkuszu:

„Kreissparkasse J. N. 934.
Gostyń, den 21. März 1900.

Urschriftlich zurück mit dem Bemerken das an Behörden gerichtete Schriftstücke in deutscher Sprache abzufassen sind.

Behrmann“.

Dlaczego ten pan Węglarz w polskich bankach nie składa oszczędności? Czyż my się wreszcie raz nauczymy, jak należy dbać o dobro społeczne? *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Z prowincyi, w kwietniu.

Szanowna Redakcyo!

Zaczynam od słów uznania dla dotychczasowej Waszej pracy a od życzenia, żeby się w tym nowym kwartale dobrze powodziło pismu Waszemu, które zasługuje na gorące poparcie ze strony każdego prawego Polaka. Dzięki „Pracy“ już tysiące poznały co to jest praca nad budzeniem ducha narodowego i tysiące jeszcze poznają. Aby się z moralnego długu wywiązać, jaki wobec Was, jako wdzięczny czytelnik, uczuwam, przesyłam arkusz osobno z nazwiskami osób, które mogłyby abonować „Pracę“ i którym numer przesłać trzeba. Kto raz „Pracę“ weźmie do ręki, ten jej się już trzymać będzie.

A teraz jeszcze jedno. Serdeczne podziękowanie redakcyi za to, że opisami z przeszłości kochanego Księstwa naszego powołuje młodszemu pokoleniu przed oczy chwile minionych walk z Prusakami. Dziś wprawdzie nie orężem, ale pracą walczymy z nimi, ale tamte czyny zaginąć nie powinny, tembardziej że cała historya strasznego 1848 roku krok za krokiem naznaczona jest wiarołomstwem Prusaków. Naukę z tego powinniśmy powziąść na przyszłość i do niej się stosować w postępowaniu z tą rasą. Wspomnienia z naszego powstania mało są znane młodym, a widzę sam jak teraz dużo nowych dla nich rzeczy „Praca“ ogłasza w artykułach „Z pamiętnych dni“ i widzę rozciekawienie i rozpalenie młodych serc. To budzi ducha polskiego. Opisujcie szczególniej ostatnie dzieje ukochanej naszej ojczyzny, dzieje tak smutne, ale tak pełne zaszczytnego poświęcenia! Dziś nam tego potrzeba, nasze dzieci dziś w szkołach o „*Vaterlandzie*“ wiedzą, ale o swej kochanej ojczyźnie nic prócz złego się nie dowiedzą. Mówię to z doświadczenia, bo widziałem, jak dopiero z „Pracy“ w te młode serca płynął jakby strumień gorącej miłości ojczyzny. Wtedy dopiero poznają oni całą fałszywość tego, co słyszą o Polsce w szkole, bo tam w zupełnie innem świetle przedstawiają dzieje — i to porównanie budzi w dorastającem pokoleniu odrazę do tych, co chcieli przytłumić ducha narodowego.

Żegnam serdecznie Szanowną Redakcyę, a proszę niezapomnieć o panu Dr. Rakowskim, którego najserdeczniej tam we Lwowie pozdrawiam w imieniu swojem i całego grona znajomych i przyjaciół. Szczęść Boże! *W. C.*

* * *

Dysseldorf.

Szanowna Redakcyo!

Od lat jedenastu istnieje tu towarzystwo polsko-katolickie pod opieką św. Rocha. Jest i drugie towarzystwo „Polonia“, które się zawiązało przed półtora rokiem. Oba one podtrzymują oświatę i duch narodowy wśród wychodźców naszych, a pracują zgodnie ręka w rękę dla dobra sprawy. Niedawno zawiązało się tu trzecie towarzystwo „Gwiazda“ wskutek zabiegów niejakiego pana Bochyńskiego. Ten pan sam się wyraził, że nowo założone towarzystwo będzie zwalczało już istniejące obydwa, a pracować będzie dla ojczyzny niemieckiej. Aby dopiąć swego celu, pan Bochyński rozpisuje do gazet korespondencye, w których wrogo występuje przeciw nam i opisuje niby istniejące tu kłótnie wśród Polaków, które w rzeczywistości nie istnieją. Za jedną z tych korespondencyi moglibyśmy go pociągnąć do odpowiedzialności sądowej, zaniechaliśmy tego, bośmy Polacy. Ale pozywamy go przed sąd „*Pracy*“, która jest głosem publicznym. Niech się oczyści z zarzutów, które uczyniliśmy.

Pozostajemy z szacunkiem głębokim

Towarzystwo narodowo-polskie „Polonia“,
przewodniczący: *F. Municki*,
sekretarz: *St. Grzegorzewski*,
Towarzystwo „św. Rocha“
przewodniczący: *M. Perdziak*,
sekretarz: *Fr. Wieruszewski.*



Franciszek Żmurko.

(Namyślaliśmy się długo, czy list ten, zbiorowo wysłany przez dysseldorfskich Polaków, umieścić, czy nie. Wogóle jesteśmy zdania, że nie można w „Pracy“ udzielać miejsca na spory i kłótnie towarzystw polskich na obczyźnie. Ale doszły nas skądinąd wieści, że rozdwojenie w Dysseldorfie doszło tak daleko, iż jednostka pewna przez zemstę denuncyowała towarzystwa polskie przed policyą i kłopotów im narobiła. Dajemy przeto głos jednej stronie z zastrzeżeniem, że odpowiedź p. Bochyńskiego, o ile będzie w tonie spokojnym pisana, a rzeczowe zawierać będzie przedstawienie sprawy umieścimy również. Redakcya „Pracy“).

Franciszek Żmurko.

Ostatni numer tegoroczny (Nr. 14) niemieckiego czasopisma illustrowanego „Moderne Kunst“ poświęcony jest w większej części naszemu młodemu malarzowi-artyście Franciszkowi Żmurce. Rodak ten nasz, z urodzenia Lwowianin, już od kilku lat zwraca na siebie uwagę nie tylko w kraju, ale i w Europie zachodniej, we Francyi i w Niemczech.



Pieśń wieczorna. (Mal. Fr. Żmurko.

Ostatni numer wspomnianego co dopiero pisma jest nowym tego dowodem. Autor obszernego artykułu, napisanego już nie tylko z uznaniem, ale z entuzyazmem, podaje po krótce bieg Żmurki, który kształcił się w Krakowie pod okiem Matejki, we Wiedniu; w Monachium, w Rzymie, — i podnosi przedewszystkiem to, że wyszedłszy ze szkoły swoich mistrzów Żmurko był przecież dosyć indywidualnym, aby się z ich wpływu otrząsnąć i zgodnie ze swoim potężnym talentem niezależnie od nich począć tworzyć. Przytem zwraca autor artykułu uwagę na wielkie przywiązanie, jakie ma Żmurko do Warszawy, do której raz wraz powraca, i w której najchętniej przebywa. Do artykułu tego dołącza „Moderne Kunst“ kilkanaście reprodukcyi obrazów Żmurki, mianowicie: przeszłość grzesznika, Violetta, gorące pragnienie, pieśń wieczorna, kilka studyi, portret Żmurki i jego atelier.

Numer ten niemieckiego czasopisma jest wymownym dowodem tryumfu, jakie święci sztuka naszą narodowa w osobie tak utalentowanego artysty jak nim jest nasz Franciszek Żmurko.

Ski.



STUDYUM. (Mal. Fr. Żmurko).

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

Markiz słuchał swego jedynaka ze zdumieniem. Pysznił się jego głębokim, dyplomatycznym rozumem, czuł, że sam nie byłby zdolny do tak wszechstronnie obmyślanego planu, co mu jednak nie przeszkadzało zawołać:

— Doprawdy! tyś się we mnie wrodził, Arturze... Ot, wiesz co, ja odrazu postaram się u guberstwa o paszporty dla ciebie do Warszawy i za granicę.

— A ja tymczasem po rewizyi postaram się kilku zapaleńcom tutejszym pokazać kwit z opłaconego datku na powstanie. Cała sztuka w takich sytuacyach umieć płaszcz nosić na obu ramionach...

— Bo jak nosić na jednem, to z łatwością spadnie, — dodał sentencyonalnie markiz.

Po chwili jakby coś sobie przypominając, rzekł jeszcze:

— Gdybym nie ufał twojej głowie, tobym dodał przestrogę, żebyś był bardzo oględnym z pokazywaniem tego kwitu. Taka rzecz grubą kontrybucyą pachnie.

— Masz ojciec słuszność, że tego nie dodajesz — odpowiedział pan Artur, — gdyż przestroga byłaby zupełnie zbyteczną.

Tak ułożywszy plan kampanii ojciec z synem rozeszli się.

Widzieliśmy, że po odjeździe Flidersa pan markiz miał atak słabości, którą według dawniejszej terminologii nazywano wyrzutami sumienia, a która obecnie, gdy pozytywna wiedza usiłuje wykreślić z dykcyonarza wszystkie wyrażenia nie mieszczące w sobie żadnej materyalnej treści, nazywa się podobno wynikiem otrzymanego wychowania.

Syn, po ułożeniu komedyi, której plan powyżej powtórzyliśmy, nie miał zupełnie takiego ataku.

Był to już wychowaniec następnej epoki, zahartowanej przeciw tego rodzaju przesądnej nerwowości...

IV.

Zaraz nazajutrz pan Artur zabrał się do urzeczywistnienia ułożonego planu i o tyle polskim zwyczajem — że zawołał żyda do pomocy.

Widzieliśmy jakimi żydami posługiwał się rotmistrz Gradowski. Żyd pana Artura i pana markiza do wcale innej należał kategoryi, aczkolwiek są ludzie, którzy twierdzą, że żyd zawsze podobny żydowi... Lecz wróćmy do żydka pana Artura.

Był to handlarz zboża, handlujący przy okazyi wszystkiem innem, na czem można było zarobić. Byłby sprzedał sam siebie, gdyby wiedział, że się za czas jakiś odkupi z zyskiem. Mieszkał w Gradowcach, nazywał się Berek Goldgeber, i wart był tego nazwiska, bo każdemu dawał pieniędzy, kto miał co do sprzedania, a brał tyle ile dawał on. Mimo to, dla skrócenia zapewne nazywano go rudym Berkiem, ponieważ miał włosy koloru, dobrze wypalonej cegły.

Rudy Berek był typem żyda spekulanta, który na wszystko zapatruje się ze stanowiska *geszeftu*. Wszyscy żydzi są takimi potrosze, ale inni po za *geszeftem* mają rodzinę, mają coś, do czego się przywiązali, a wyjątkowi, jak Mortko, potrafią nawet zapomnieć o interesie, idealni, jak Józef, umieją nawet wznieść się do wznioślejszych uczuć i zapomnieć o wszystkiem, co ma jakikolwiek związek z szacherką; rudy Berek tych wszystkich rzeczy nie rozumiał... Opowiadano o nim, że gdy mu belfer po raz pierwszy powiedział, że Bóg stworzył świat, on odpowiedział na to zapytaniem, na jakie żaden może belfer nie miał jeszcze sposobności uczniowi swemu odpowiadać:

— Nu, to dobrze, że stworzył, ale co on na tem zarobił?...

W tem zapytaniu dziecka charakteryzował się człowiek. U innych żydów istnieje różnica pomiędzy uczciwością i zyskiem, u rudego Berka były to zupełne jednoznaczniki. Co było zyskownem, było dla niego uczciwem, a co niezyskowne występem....

Pomimo takich zasad, rudy Berek nie miał a nawet właśnie z ich powodu nie mógł mieć znaczniejszego majątku, choć go się od młodu dorabiał ciągłemi spekulacyami, ciągłą oszczędnością i odmawianiem sobie wszystkiego, aż do łyżki ciepłej strawy, której prócz szabasu przez cały tydzień nie miał w ustach. I nie mogło być inaczej. Żyłka spekulancka jest potrosze żyłką szulerską. Im więcej kto wygrywa, tem więcej stawia, aż w końcu, choćby najkorzystniejsze szanse miał dla siebie, raz przegrać musi grubo i znów od małych stawek grę rozpoczynać.

Rudy Berek był takim szulerem spekulacyi i nieraz w życiu zgrywał się do nitki na interesa, które go widokami ogromnych zysków znęciły, a zupełnie zawiodły w końcu. Nie zrażało go to bynajmniej. Gdy upadł, wracał zawsze do punktu wyjścia, to jest do Gradowiec i rozpoczynał spekulacye na nowo od dobrego faktorstwa i małego handlu. Dorobiwszy się na tem, zaczynał handel końmi, potem zbożem, a wreszcie dalej ruszał, szukając obszerniejszej widowni dalej, co znaczyło Kamieniec, albo Dubno, później Kijów. Raz już doszedł tak daleko, że miał dom i handel w Odessie i dopiero w tem Eldorado odwróciła się od niego karta. Schwytany na jakiejś olbrzymiej kontrabandzie stracił wszystko co miał i *per pedes*, ciągnąc troje dzieci na wózku, do którego konia nie było, z żoną, która to zsiadała i pomagała ciągnąć, to znów zmęczona drapała się na wózek, przybył z powrotem nad Smotrycz.

W tej chwili kiedy go zapotrzebował pan Artur, Berek, jak powiedzieliśmy, handlował już zbożem, dorobił się znów zatem, poraz niewiadomo który, tyle, że mógł zacząć myśleć o przeniesieniu się do więcej zysków nastręczającego ogniska. Wybuch powstania zatrzymał go jednak na miejscu. Spekulacyjnym węchem wietrzył w tym ruchu interes, na którym można było zarobić, geszeft niekoniecznie bezpieczny i pewny, ale dla zapalonego spekulanta tem ponętniejszy. I on także przed wytknięciem sobie drogi postępowania zastanawiał się nad tem, na którem ramieniu płaszcz nosić i przyszedł do wniosku, że najlepiej nie nosić wcale płaszcza, bo przez noszenie zawsze się niszczy....

Ta polityka rudego Berka, napozór wprost przeciwna polityce łaszczynieckiego pałacu, w gruncie przecież wychodziła na jedno. Markiz i syn jego starali się być dobrze z obydwiema stronami z zasady, a rudy Berek myślał o tem jak wyzyskiwać obie strony także z zasady. A ponieważ w walce dwóch stron jednakowe obustronne straty i korzyści wzajem się kompensują, więc obie polityki służenia i powstaniu i Moskalom jednakie przynosiły pożytki lub ubytki, były więc mimo pozornego przeciwieństwa zupełnie równe.

W rudym Berku znalazł zatem pan Artur pośrednika do wykonania pierwszych podstaw swego dyplomatycznego planu, to jest do wywołania niespodziewanej rewizyi w Łaszczyńcach.

Zadanie to zbyt było łatwe, żebyśmy potrzebowali nużyć czytelnika szczegółowym opisem, jak były kamerjunkier zabrał się do rzeczy. Powiemy tylko, że nie był tak nieprzezornym, żeby Berkowi dać odgadnąć, co właściwie ma na celu.

— Znasz zasidatela Iwana Iwanowicza? —rzekł do niego bez żadnych wstępów.

— Nu, ktoby jego nie znał, tego pijanicy, z przeproszeniem jaśnie pana, odpowiedział żyd uchylając jarmułki.

Wstrzemięźliwy jak wielu żydów, może nawet bardziej niż wszyscy, Berek, który się niczem podobno nie brzydził, czuł jednak odrazę do pijaństwa i do pijaków, co mu przecież nie przeszkadzało upić się kilka razy w życiu, gdy tego wymagały geszefta.

— Idzie mi właśnie o to, żeby go spoić....

— Nic łatwiejszego, jaśnie panie... dwie kwarty dzieńgielówki wystarczy.... ja za trzy karbowane zrobię ten interes.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

Największe jej życzenie spełniło się! Chciała umrzeć, aby nie być mężowi dłużej ciężarem i przeszkodą do jego szczęścia.

Myśl ta dziwnie uspokoiła biedne, gorące jej serce! Wracała sama Arturowi wolność, a chociaż żal było jej rodziców, to jednak czuła się zadowoloną i dziękowała przeznaczeniu, które samo rozłączało ją na zawsze z mężem. Nie myślała chwi owo o tem, że małżeństwo Artura z Janiną byłoby zbrodnią, póki ona żyje. Rodzice pocieszą się z czasem, Artur będzie szczęśliwy, a dziecko...

Ach, na wspomnienie dziecka ścisnęło się serce biednej strasznym bólem. Ale powiedziała sobie, że za kilka lat wróci niepoznana do Anglii i zobaczy je z daleka chociaż...

Im więcej zajmowała się Helenka swoim planem, tem bardziej czuła się spokojną. Przestawała odtąd istnieć dla męża, którego tak szalenie kochała i dla Janiny, której całe zabrała szczęście. Nigdy już nie chciała wrócić do domu, jako lady Chesley.

Gdy okręt przybył do Tulonu, prosiła owej Francuzki, pani Marre, o wyszukanie dla niej jakiego skromnego mieszkania, w którem mogłaby się zupełnie wyleczyć. Pani Marre ofiarowała jej jeden z swoich pokoików, w małym domku na cichem przedmieściu, na co Helenka z chęcią się zgodziła. Zaledwie stanęła w swem nowem mieszkaniu, gdy rana na głowie otworzyła się znowu. Helenka długie przeleżała tygodnie — piękne jej włosy musiały być obcięte, tak, że miała ich mniej pewnie, niż miała Stella. Pani Marre patrzała zachwycona na wspaniałe złote warkocze.

— Szkoda ich! — zawołała. — Ale te włosy wielką mają wartość. Niech je pani sprzeda!

Chora uśmiechnęła się.

— A któż je kupi? — rzekła.

— Każdy fryzyer dałby najmniej sto franków za nie. Jeżeli pani chce, to pójdę i spytam się.

— Dobrze! Mnie one niepotrzebne!

Pani Marre, poczciwa, ale skąpa i chciwa pieniędzy kobieta, pielęgnowała Helenkę troskliwie, kazała sobie jednak dobrze za to zapłacić.

Długo bardzo trwało, zanim Helenka wyzdrowiała o tyle, że mogła wychodzić z pokoju. I teraz obliczyła wszystkie swoje pieniężne zasoby i ułożyła plan na przyszłość. Oprócz kilku set funtów, które od czasu, jak wyszła za mąż, zawsze nosiła przy sobie w małej portmonetce z kości słoniowej, a będącej pierwszym podarunkiem Artura, posiadała kilka bardzo kosztownych pierścionków, brylantową broszkę, kolczyki i bransoletki, oraz zegarek, ozdobiony drogiemi kamieniami. Żaden z tych drogich przedmiotów nie zaginął, banknoty były nienaruszone, więc mogła żyć wygodnie, chociaż skromnie przez kilka lat. Co potem miało nastąpić, o tem nie myślała. W Tulonie jednak nie chciała pozostać, postanowiła zatem przenieść się do Paryża.

W ogromnej tej stolicy zniknie łatwiej w tłumie! Później powróci do Anglii, aby zobaczyć dziecko — nikt jej nie pozna, a najgorętsze życzenie jej serca zostanie spełnione!

— Tylko jedyny raz spojrzę na nią, na moją Stellę, — mówiła, płacząc gorżkiemi łzami, — a potem zaczekam cierpliwie na chwilę, w której na zawsze się z nią połączę!

Nie przyznawała sobie, że jedynie życzenie zbliżenia się do Anglii było powodem jej zamiaru przeniesienia się do Paryża. Mówiła, że lady Helena Chesley nie żyje, a zapominała, że serce jej przepełniała ta sama miłość i to same cierpienie, jak dotychczas.

Kupiła sobie skromną, czarną suknię i wynajęła mały pokoik, aby wystarczyć pieniędzmi na czas jak najdłuższy. Potem chciała szukać jakiego zarobku, a jeżeliby nic nie znalazła, to by też nic nie szkodziło! Z tem wszystkiem, nie umiejąc się z pieniędzmi obchodzić, wydawała dosyć dużo, tak, że nie chcąc brać więcej, niż sobie na każdy dzień przeznaczyła, musiała nieraz znosić głód i zimno. Znosiła jedno i drugie tak mężnie, jak nikt nie byłby się tego spodziewał po kobiecie młodej, wytwornej i rozpieszczonej, jaką ona właśnie była.

Pomimo to wolała już takie życie, niż pobyt w zamku przy boku męża, który jej nie kochał. Tu była przynajmniej spokojną, podczas kiedy tam męczyła się codziennie zazdrością i wyrzutami sumienia.

Dni mijały jeden po drugim w zupełnej ciszy i samotności. Helenka chodziła codziennie do kościoła św. Magdaleny i przepędzała tu całe godziny na gorącej modlitwie. Przed oczami duszy przesuwało się jej życie dotychczasowe, i za każdym razem przychodziła na nowo do tego przekonania, że śmierć jest dla niej o wiele lepszą, niż życie. Raz ośmieliła się wyjść na wytworne ulice, i tam kupiła angielską gazetę. Z gorączkowym pospiechem przebiegła pierwsze strony, a gdy spojrzenie jej padło na słowa „lord Chesley“, wtedy oparła się o mur domu, i głośno zapłakała. W wiadomościach o wysokiej arystokracyi wyczytała bowiem, że owdowiały lord Chesley wrócił do swego zamku Ashbruk. Ach, ona myślała, że zobojętniała już na wszystko, na miłość i na ból, a tymczasem samo nazwisko męża wzruszało ją tak niewymownie. I ze łzami czytała kilka razy ową krótką wzmiankę o nim, i przyciskała gazetę do ust drżących.

Cóżby powiedział lord Chesley na to, gdyby wiedział, że Helenka czyta o nim w gazetach!

Odtąd kupowała często gazety, ale nic już o Arturze w nich nie stało. Widocznie zamieszkał stale w Ashbruk, starała się więc uprzytomnić sobie, czem się zajmuje i jakie ma towarzystwo. Była pewną, że teraz jeszcze nie ożeni się z Janiną, ale za rok, lub za dwa.....

Helenka myślała, że nic łatwiejszego, jak odsunąć się od świata, żyć z dnia na dzień bez celu i czekać spokojnie na śmierć, teraz poznała jednak, że to wcale tak łatwem nie jest.

Wyrzekła się nazwiska i stanowiska, ale usposobienia zmienić nie mogła. Im więcej wracała do zdrowia i sił, tem więcej ciążyła na niej samotność i bezczynność.

— O, gdybym nie była wyczytała jego nazwiska — mówiła, usiłując wmówić w siebie, że to jedynie pozbawiło ją rozwagi ducha. Nie chciała wyznać, że serce jej rwało się do ukochanego męża i że kochała go zawsze tak samo, pomimo wszystkiego, co się stało.

Zwolna zaczęła poznawać swoich sąsiadów. U jednej z kobiet na poddaszu zachorowało dziecko, a ona ofiarowała natychmiast swoją pomoc. Łagodna i dobra, zyskała od razu serce małego pacyenta, który wolał być u niej, niż u matki. Od czasu do czasu przychodziły inne kobiety i pytały jej o radę. Już sam widok ślicznej, smutnej twarzyczki młodej kobiety był ludziom pociechą, i tak, owa dawniejsza wykwintna lady stała się przyjaciółką i opiekunką ubogich i chorych.

Czasem, przejęta litością i współczuciem dla innych, zapominała o własnym żalu. W ten sposób upłynął cały rok, ale teraz nadszedł dzień, w którym serce jej odezwało się na nowo, w którym duma jej i rozpacz ustąpiły jej wobec wielkiej miłości dla dziecka, i w którym szalona za niem tęsknota zwalczała wszelką rozwagę.

— Raz tylko zobaczyć Stellę! — wołała załamując ręce — Raz tylko zobaczyć moją dziecinę ukochaną!

Drobny wypadek wywołał te uczucia. Pewnego dnia ujrzała przed kościołem św. Magdaleny małą, jasnowłosą dziewczynkę, która w tłumie straciła matkę z oczu. Biedna biegała tu i tam, krzycząc i płacząc przeraźliwie. Helenka zbliżyła się do niej.

— Co ci jest dziecko? — spytała łagodnie.

— Do mamy! do mamy! Zgubiłam mamę! — powtarzała dziewczynka rozpaczliwie.

Słowa te wstrząsły do głębi sercem Helenki, i zbudziły uśpioną na chwilę jej miłość macierzyńską. Sztucznie osiągnięty spokój znikł w jednej chwili!

Wszakże tam, w Anglii, było jej dziecko, do którego tęskniła, a które daremnie wołało swej matki! Cóż znaczyła jej duma i boleść serca w porównaniu do miłości jej dzieciny! Czyż przespała ten cały rok, czy myślała rzeczywiście, że zdoła żyć bez niej?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drogą wśród winnic.

Jarosława Vrchlickiego.

Szedł Jezus między gronami pełnemi,
Z nim Jan i Jakób, Judasz rudowłosy,
A Jezus w niebo patrzył, ci ku ziemi.
Każdy to czyni co mu każą losy.

Rzekł Jan: Te grona pięknie dojrzewają,
A Jakób: W złoto mienią się w purpurę
A Judasz: Piersi niewieścich kształt mają,
A Jezus milcząc ciągle patrzył w górę;

Każdemu dalej myśli jego biegą;
Jan widział w duszy szczęsne winobranie,
Jakób bogactwo pana zbioru tego,
A Judasz orgię i żądz rozpasanie.

A Jezus ciągle wznosił wzrok do nieba,
Myśląc, jak życiem odkupi stworzenie:
Czego, by zbawić człowieka potrzeba?
To wino na krew swoją mu przemienię.

Przełożył z czeskiego Bronisław Grabowski.

Nasze illustracye.

(Podziękowanie wodza.)

Illustracya albumowa przedstawia tę pamiętną chwilę po bitwie pod Racławicami, w której Kościuszko dziękuje wojsku, mianowicie kosynierom, za okazaną waleczność w pokonaniu wroga. (Opis bitwy pod Racławicami podaliśmy w numerze 14-ym „Pracy“ z r. b. na stronie 381-ej, dokąd Czytelników po bliższe odsyłamy szczegóły. (Przyp. Red.)

Wiadomości.

Rewizyą kilkagodzinną odbyło dnia 18-go b. m. w południe w biurze redakcyi naszego tygodnika dwóch wyższych urzędników policyjnych na rozkaz król. prokuratoryi. Poszukiwano z wielką gorliwością manuskryptu artykułu, zamieszczonego w numerze 14-tym „Pracy“ z d. 1-go kwietnia r. b. p. t. „Lojalni i wierni poddani“. Przewrócono całą redakcyą, przetrząśnięto wszelkie biurka, szuflady itd., nawet zrewidowano ściśle wszelkie papiery prywatne redaktora, pana Bolesława Rakowskiego, które miał w paletocie, ale manuskryptu oczywiście — nie znaleziono, gdyż, jak zwykle, uległ natychmiastowemu zniszczeniu, po wydrukowaniu.

Agenturę „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Załęże i okolicę na Górnym Śląsku otworzyliśmy u p. Józefa Gediga w Załężu, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom naszym Załęża i okolicy. Tamże można zaabonować „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ od każdego czasu i otrzymać zaległe numera i zeszyty z bieżącego kwartału.

Z teatru. Podczas świąt odegrano z wielkiem powodzeniem komiczną operetkę p. t. „Za Oceanem“ i sztukę narodową p. t. „Kościuszko pod Racławicami“. Także przedstawienia popołudniowe cieszyły się powodzeniem. Bardzo licznie zebrana publiczność oklaskiwała gorąco dobrą i staranną grę artystów.

W sobotę, dnia 21-go b. m. po raz pierwszy benefis pani Antoniny Howorko-Wiśniewskiej „Królowa przedmieścia“. Sztuka ta, oparta na tematach mieszczańskich, miała wielkie powodzenie w Krakowie i Warszawie, zatem spodziewać się należy, że i w Poznaniu będzie miała powodzenie.

W niedzielę wieczorem, dnia 22 go b. m. po raz drugi: „Królowa przedmieścia“,

W przyszłym tygodniu udaje się teatr do Gniezna, gdzie z okazyi jarmarku na konie da w sali hotelu Europejskiego cztery przedstawienia w dniach 24-go, 25-go, 26go i 27go b. m.

Jubileusz 25 letni kapłaństwa obchodzić będą dnia 29 czerwca r. b. następujący księża naszych dyecezyi: Ks. Walenty Cieśliński z Lubasza, ks. Feliks Laudowicz z Kwilcza, ks. Maksymilian Droździński z Sremu, ks. Karól Seichter z Wirów, ks. Franciszek Maj z Turska, ks. Leon Piotrowski z Konarzewa.

Dla wystawy rolniczej poznańskiej utworzyły się dwa miejscowe komitety. Do głównego komitetu należy z Polaków p. szambelan Cegielski, a do wydziału kwaterunkowego należą pp. radni miejscy Brzeski, Cichowicz i Jagielski. Obywatele Poznania, którzy za stosownem wynagrodzeniem chcieliby dla gości zwiedzających wystawę i dla wystawców oddać pomieszkania i kwatery, zechcą się zgłosić w nowym ratuszu na parterze po prawej stronie do biura pomieszkaniowego. Pobyt gości trwać będzie 6 do 10 dni. Wystawa odbędzie się w czerwcu r. b. Za bezpłatnie udzielone mieszkania i kwatery główny komitet wystawy zapłaci magistratowi pewną kwotę na ubogich.

Z miasta. W środę 21go z. m. odbyło się na sali Banku Parcelacyjnego tutaj na Piekarach No 18 tegoroczne zwyczajne Walne Zebranie tegoż banku.

Z przesłanego nam sprawozdania podajemy co następuje do publicznej wiadomości:

Walne Zebranie zagaił prezes Rady Nadzorczej p. dr. Jarnatowski i witając licznie zebranych członków powołał do pióra p. S. Dąbrowskiego, a przyjąwszy przewodnictwo udzielił głosu p. dyrektorowi Łopińskiemu do sprawozdania za rok ubiegły.

Z sprawozdania tego dowiadujemy się, że Bank Parcelacyjny rozparcelował względnie kupił i sprzedał dalej w całości 25 mniejszych i większych posiadłości ogólnego obszaru 6656 mórg, za 1. 300. 000 mk. i zarobił na czysto 74.310.03 mk. czyli 11·17 mk na mordze.

Pan dyrektor Łopiński zaznaczył z uznaniem, że do rozwoju Banku Parcelacyjnego przyczyniło się kilku gorliwych członków i wymienił ich po imieniu — a także jedna z pierwszych instytucyi finansowych poznańskich. Ponieważ bilans, zestawienie zysków i strat oraz obrót ogólny rozdano pomiędzy obecnych członków drukowane, więc pojedyńczych pozycyi liczbowych nie wymieniano, lecz przyjęto przez Zarząd proponowaną dywidendę. Na pokrycie przeszło 300.000 mk. depozytów ma Bank Parcelacyjny w pierwszej linii za blisko 400.000 mk. pierwszomiejscowych $5^0/_0$ hipotek, dalej wszystkie rezerwy Banku. Obrót ogólny balansował w sumie 9. 348.967. 94 mk. Walne Zebranie zatwierdziło bilans i dało pokwitowanie tak Zarządowi jak i Radzie Nadzorczej jednogłośnie. Na propozycyą p. dyrektora Sikorskiego uchwalono z sumy do dyspozycyi Walnego Zebrania pozostawionej 808. 27 mk. na fundusz emerytalny dla wdów i sierót po urzędnikach bankowych. Fundusz ten podniósł się wskutek tego na 1.295.46 mk. Resztę 2743,31 mk. przekazano również na cele proponowane przez dyrektora pana Sikorskiego, chociaż co prawda tutaj odezwało się kilka głosów z opozycją, żądano mianowicie jeszcze tej sumy do funduszu rezerwowego. Dopiero po dokładnem wyjaśnieniu liczb bilansowych, z których wynika, że rezerwy Banku Parcelacyjnego już dzisiaj aż 180.000 marek wynoszą, co tylko świetnym i chyba niebywałym rezultatem trzyletniej pracy nazwać można, zebranie już od dalszego uposażenia funduszy rezerwowych odstąpiło.

W dyskusyi zabierali głos nieomal wszyscy zebrani a po kilka razy przemawiali mianowicie pp. dr. Antoni Chłapowski, dr. Pomorski, Koczwara, Robiński, Modlibowski, dyrektor Dalski, mecenas Czypicki, Łajp i Sikorski.

Do Rady Nadzorczej wybrano tajnem głosowaniem tych samych panów,którzy ustępowali a mianowicie p. dr. Jarnatowskiego, mecenasa Czypickiego i p. Łajpa i to pierwszych dwóch na lat 3 a ostatniego na rok jeden.

Pan mecenas Czypicki podziękował Zarządowi za oględną i mrówczą pracę a p. dr. Pomorski stawił wniosek, aby na przyszłość zawsze Walne Zebranie na 9-tą rano zwoływać, na co się zgodzono.

W końcu przyobiecał jeszcze Zarząd, że na przyszłość postara się o rychlejsze sprawozdanie — w razie potrzeby o większy lokal.

W Gnieźnie zawiązał się, jak wiadomo, komitet wielbicieli Józefa Chociszewskiego, który to komitet wziął sobie za zadanie, aby uczcić 40 letnią działalność literacką męża tak bardzo zasłużonego, który lud polski w pismach swoich rozproszonych po całej Polsce oświecał, krzepił, pocieszał i w miarę możności wspierał. Poświęcenie swoje dla ludu i sprawy jego przypłacił kilkakrotnem więzieniem. Słuszną tedy i sprawiedliwą jest rzeczą, aby tak zasłużonemu mężowi złożyć wyraz wdzięczności społecznej w postaci daru narodowego. Podpisany komitet wzywa wszystkich przyjaciół i wielbicieli Chociszewskiego, aby w miarę możności złożyli się choćby najdrobniejszym datkiem na wspomniany cel. Wszelkie podarki można nadsyłać do redakcyi „Lecha“ w Gnieźnie. Redakcya „Pracy“ przyjmuje także chętnie datki na tak szlachetny cel.

Pamiętajmy więc o naszym kochanym Chociszewskim, któremu zawdzięczamy nieomal wyłącznie dokładniejszą popularną znajomość naszej historyi polskiej i naszej literatury.

Dotychczas złożyli na nasze ręce: Wydawnictwo „Pracy“ 25 marek, obywatele Sadkowscy i Nakielscy 8,5 mrk., oraz „Towarzystwo Robotników Polskich“ w Zgorzelicach 3,50 mrk. przy załączeniu następującego listu:

„Zgorzelice, dnia 10. IV. 1900.

Szanowna Redakcyo!

Na wczorajszem posiedzeniu dnia 9. IV. 1900 zebrało nasze „Towarzystwo Robotników Polskich“ w Zgorzelicach 3,50 m. na narodowy podarek dla czcigodnego jubilata obecnej chwili pana Józefa Chociszewskiego,

boć to i my zwyczajni robotnicy na tułaczce mamy sposobność, dostawszy książki z „Czytelni Ludowej“ z Poznania, czytać dziełka ludowe czcigodnego Jubilata. Jego historya ojczysta i inne dzieła historyczne napełniają nas otuchą, gdyż to ulubieniec ludu, za niego nieraz w więzieniu siedział, i dał dowód, że póki nie brak ludzi poświęcenia, to „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Cześć i chwała ludziom czynu, ducha i słowa.

Z uszanowaniem
Tadeusz Sobeski,
sekretarz Towarzystwa.“

Razem złożono dotąd 36 marek 55 fen. Dalsze składki na cel powyższy chętnie przyjmujemy.

Panowie Bogdan i Ludwik Borowscy przejęli od pana L. Dabińskiego w Trzemesznie przy Rynku skład win, napojów, towarów kolonialnych, delikatesów, cygar, artykułów drogeryjnych, węgli, wapna itd., który pod firmą „B. i L. Borowski“ nadal prowadzić będą. Przedsiębiorstwo to naszych rodaków polecamy względom Szanownych Czytelników.

Nowemiasto (Prusy Zachodnie). Rodak nasz p. Zelma z N. nabył drogą kupna majątek od Niemca Castrana z Kaczku. — „Szczęść Boże!“ Redakcya „Pracy“.

Ksiądz Dr. Stephan z Berlina — Weissensee rozsyła po Księztwie i Poznaniu między Polaków niemieckie książeczki do nabożeństwa p. t. „Die Charwoche mit den kirchlichen Gebeten und Gebräuchen.“

Dochód ze sprzedaży przeznaczony na rzecz kościoła św. Józefa w Weissensee pod Berlinem. Do książek dołączony jest formularz celem wysłania pieniędzy z wydrukowanym adresem do ks. dr. Stephana.

Ks. dr. Stephan powinien o tem wiedzieć, że w kraju mamy dosyć potrzeb własnych, że składkujemy i na budujące się i na restaurujące się u nas kościoły, na Czytelnie ludowe itd. itd. i że do Berlina wobec bardzo licznych, własnych potrzeb w kraju, pieniędzy wysyłać nie możemy, tym więcej, że nie możemy i najmniejszą składką przyczyniać się do rozszerzania książeczek niemieckich, choćby religijnych. Czyż nas jeszcze mało germanizują w szkole i kościele i czyż jeszcze było potrzeba, aby i ks. dr. Stephan przysyłał do nas z Berlina książeczki niemieckie? Doprawdy — na to „Szkoda czasu i atłasu!“ Niech więc ks. dr. Stephan uszczęśliwia niemieckiemi książeczkami Niemców, a nas Polaków niech nie zaszczyca więcej takiemi germanizacyjnemi ofertami!

Od Redakcyi.

Panu J. Sz. Najuprzejmiej dziękuje dr. K. Rakowski za nadesłane uzupełnienie artykułu. Wiadomości w liście podane zostaną zużytkowane w książce, którą do druku dr. Rakowski przygotowuje o wypadkach 1848 r.

Radołwowi w Inowrocławiu. Manuskryptu nie otrzymaliśmy — za zjednywanie nowych abonentów dziękujemy serdecznie.

Panu Fr. M. w Śremie. Racya — nie dotrzymaliśmy obietnicy — ale mamy tyle manuskryptów, że rzeczywiście jesteśmy w ambarasie, co najpierw dać do druku. W najbliższym czasie zamieścimy Pański artykuł.

I. G. Wanne. Księgarnia polska w Poznaniu. Prosimy o dokładny adres, mianowicie o ulicę i numer domu.

Panu Tomaszowi G. w Ż. Przyślij nam Pan ów artykulik, a zamieścimy chętnie.

Panu A. N. w S. Przyznajemy Panu racyą — na przyszłość zastosujemy się do Jego wskazówek.

Panu E. S. w O. Dziękujemy, zużytkujemy.

Panu K. w K. Obraz ten u nas już wyczerpany, nabyć go nigdzie nie można.

Panu J. M. w Myślenicach (Galicya). Ze względów prasowych zamieścić nie możemy; z łaskawej oferty na razie korzystać nie możemy, gdyż „wierszami“ jesteśmy formalnie zasypywani i doprawdy nie wiemy, co z tym fantem zrobić?

Panu W. S. w Br. Nie nadaje się do „Pracy“.

Panu W. G. w Berlinie. Na razie nie możemy Pana poinformować.

Panu S. Fr. w Gnieźnie. Już o tem pisały wszystkie gazety, więc powtarzać nie możemy, zresztą sprawa ta już spóźniona. Na przyszłość prosimy o notatkę rychłą oryginalną, a nie o wycinek z gazety.

Panu Fr. Z. w S. Będzie w jednym z następnych numerów. Przedruków nie zamieszczamy.

Pasikonikowi. Serdecznie dziękujemy i bardzo prosimy.

Panom Józefowi J., J. T. w O; Józefowi z Gniezna; paniom: Helenie S., Zofii J i wielu innym: Prosimy o cierpliwość — na razie zamieścić nie możemy dla nawału materyału.

Autorowi sztuki. „Bośniacy“. Sztuk dramatycznych w „Pracy“ nie zamieszczamy.

Panu Ed. S. w W. Dziękujemy, zamieścimy na Zielone Swiątki.

Panu A. w W. „Bóg zapłać“, ale na razie z powodu nawału materyału zamieścić nie możemy.

Do Herne. Prosimy przedewszystkiem wystąpić z otwartą przyłbicą.

Dr. K. w T. (Pr. Zachodnie). „Czytelnię Polską“ oddajemy na tutejszą pocztę co środę popołudniu.

Panu Józefowi W. w Stanisławowie (Galicya). Na razie rzeczy tej wydawnictwo nasze uskutecznić nie może, ale w przyszłości już blizkiej pomyśli o tej reformie.

Panom: Marcelowi P. w Rzeszowie i Braciom N. w Łańcucie. Poczta galicyjska musi przyjąć prenumeratę, w przeciwnym razie zażalcie się Panowie do naddyrekcyi poczty we Lwowie.

Panu Em. J. B. w Gliwicach. Księgarnia polska (Tempłowicza) w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu Stanisławowi D. w Chrzanowie. Było zamieszczone po wiele razy tak w „Pracy“, jak też w „Czytelni Polskiej“. Za serdeczne życzenia „Bóg zapłać!“

Panu Antoniemu Gl. w Kobylance (Galicya). Zapisz Pan sobie tę książkę z Księgarni polskiej (Tempłowicza) w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu M. K. w Śremie. Jeżeli Pan składał manifestacyjną przysięgę to tylko w tym celu, czy ze spisu przez Pana podanego dałoby się cokolwiek zatradować na koszta sądowe. Teraz dadzą Panu spokój.

Panu B. K. w Gnieźnie. List Jego zakomunikowaliśmy interesantowi — serdecznie dziękujemy za wyjaśnienie.

Panu Izydorowi P. w Krakowie. Przyślij Pan do przejrzenia.

Do Lubawy. Niestety! odebraliśmy za późno, gdy już arkusze z wielkanocnemi artykułami były wydrukowane. Zarezerwujemy sobie, da Bóg doczekać, do przyszłej Wielkanocy.

Panu J. K. w Bielsku. Informacyą wszelką w tej sprawie dać Panu musi odnośny komisarz obwodowy nawet landrat.

Panu S. w G. pod Kruświcą. Dr. Jaruntowski w Poznaniu, ulica Wilhelmowska naprzeciwko drukarni Deckera.

Panu J. A. w Lubawie, Sprawa ta należy do działu inseratowego.

Panu Józefowi Wajturskiemu w Nadbrzeziu (Galicya.) Udaj się Pan w tej sprawie do „Księgarni polskiej“ p. Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu Y. w Samborze (Galicya.) Będzie!

Panu A. B. w Rastatt. Istnieje tam wiele Towarzystw polskich, ale bliższych adresów nie znamy. Co do drugiej sprawy to udaj się Pan do „Księgarni polskiej“ p. Tempłowicza w Poznaniu, hotel francuzki.

Panu T. T. w Berlinie. Pan B. wyjechał.

Panu L. w Nowem. Numer 3-ci już wyczerpany.

Pani A. Z. w K. pod Kaźmierzem. Prosimy najuprzejmiej o łaskawą bliższą informacyę co do listu z 17-go b. m., gdyż ten nas nie doszedł.

Panu Walentemu P. w Galicyi. Za adresy najuprzejmiej dziękujemy. Adresu bliższego p. Jana P. podać na razie nie możemy.

Panu Fr. W. w Kętach (Galicya.) Za zjednywanie nowych abonentów Bóg zapłać!

Pani Stefanii Kr. w M. Adres jest taki: „Poznania“, pralnia chemiczna w Poznaniu ulica Berlińska.“

Humorystyka.

W teatrze.

Stary jegomość, zrozpaczony, do damy, której olbrzymi kapelusz zasłania mu scenę:

— Przepraszam, łaskawa pani, ale miejsce moje kosztuje 3 m. 20 f. i rozumie pani, iż chciałbym cośkolwiek widzieć. Tymczasem kapelusz pani....

— Mój kapelusz, szanowny panie, brzmi odpowiedź, kosztuje 40 m. i chciałabym bardzo, żeby go widziano.

U adwokata.

— Wygrana pańska w tej sprawie jest bardzo wątpliwa. Radziłbym panu zaczekać, aż minie pierwsze wzburzenie. Prześpij pan spokojnie tę noc, a jutro zobaczymy.

— To niepodobna.

— Dlaczego?

— Jestem stróżem nocnym.“

U lekarza.

— Macie tu receptę, mój przyjacielu, każcie zrobić lekarstwo w aptece i weźcie wieczorem przed spaniem, łyżkę lekarstwa i cztery łyżki wody.

— To będzie trudno, proszę wielmożnego pana, bo w domu są ino trzy łyżki.

*

Ze starych kronik.

...I zabrzmiały trąby brzmiące,
I zagrały huczne rogi.
Zaroiły się od ludu
Podzamkowe wszystkie drogi,
A na moście, na zwodzonym
Stanął herold z taką wieścią:
„Książę, pragnąc wydać córę
Z należytą za mąż cześcią,
Zapowiada: Ten ci weźmie
Książęcego rodu córę,
Kto w śmiałości i odwadze
Nad innymi weźmie górę...“

Rozpoczęły się turnieje,
Walki krwawe, boje srogie,
Na niedźwiedzie albo tury
Młodzi czynią łowy mnogie.
Ten jest dzielny, ów zaś mężny,
Tamten tęższy od owego,
Ale serca młodej dziewki
Niestopione lody strzegą...

Nagle trąby znów zabrzmiały
Przy zwodzonym zamku moście,
Jedzie rycerz nieznajomy,
Z za rzek, z za mórz jadą goście.
Poczet zacny i bogaty,
A na pocztu tego przedzie
Rycerz cudny jako słońce
Na bachmacie siwym jedzie.

Most przejechał, skoczył z konia,
Na krużganki wszedł zamkowe,
Księciu skłonił się przystojnie,
Tuż przed księżną schylił głowę,
A księżniczkę, do niej potem
Wygłosiwszy jak miód mowę,
Ucałował — w same usta,
Jak kwiat róży purpurowe...

Potruchlało wokół wszystko,
Widząc śmiałość taką hardą;
Jeden, drugi pachoł z straży
Jął już szczękać halabardą,
A księżniczka, mdlejąc szepce:
„Panie ojcze swataj córę!
Ten ci rycerz w cnej odwadze
Nad innymi wziął już górę...“

Nowy sposób mierzenia temperatury.

Pokojówka Kasia od dni paru zawarła bliższą znajomość z termometrem, tak, że sama potrafi stwierdzić temperaturę. Choć wiosna, zimno i zimno. — Wreszcie pani, zauważywszy, że chłód w pokojach panuje niezwykły, rzecze:

— Moja Kasiu, trzeba będzie palić jeszcze w pokojach. Zimno jak w psiarni.

— Jakto, zimno? — protestuje Kasia — przecież sama widziałam, że w pokojach jest 22 stopnie ciepła.

— Co ty mówisz!

— No tak, dopiero co patrzyłam: 10 stopni jest w salonie, a 12 w pokoju sypialnym...

Nadesłane.